

Dariusz Bugalski

WIRUS

„To opowieść jak z bajki
albo jak z *Imagine*:
Polskę ogarnia
epidemia miłości...”



Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiejkolwiek postaci jest zabronione. Wykonywanie kopii metodą kserograficzną, fotograficzną, a także kopiowanie książki na nośniku filmowym, magnetycznym lub innym powoduje naruszenie praw autorskich niniejszej publikacji.

Wszystkie znaki występujące w tekście są zastrzeżonymi znakami firmowymi bądź towarowymi ich właścicieli.

Autor oraz Wydawnictwo HELION dołożyli wszelkich starań, by zawarte w tej książce informacje były kompletne i rzetelne. Nie biorą jednak żadnej odpowiedzialności ani za ich wykorzystanie, ani za związane z tym ewentualne naruszenie praw patentowych lub autorskich. Autor oraz Wydawnictwo HELION nie ponoszą również żadnej odpowiedzialności za ewentualne szkody wynikłe z wykorzystania informacji zawartych w książce.

Opieka redakcyjna: Ewelina Burska
Redakcja: Monika Stachura
Projekt okładki: Ewa Prażmowska-Bekiersz
Zdjęcia na okładce: Wojciech Prażmowski
Korekta: MT Media

Wydawnictwo HELION
ul. Kościuszki 1c, 44-100 GLIWICE
tel. 32 231 22 19, 32 230 98 63
e-mail: editio@editio.pl
WWW: <http://editio.pl> (księgarnia internetowa, katalog książek)

ISBN: 978-83-283-0083-5

Copyright © Dariusz Bugalski 2016

Printed in Poland.

- Kup książkę
- Poleć książkę
- Oceń książkę

- Księgarnia internetowa
- **Lubie to!** » Nasza społeczność

2.

— Jak się nazywa prezydent?

— Ma tatuaże.

— A nazwisko?

— Nie, raczej sobie nie przypominam tak naprawdę.

— A tatuaże?

— No co pan: „Polska Walcząca” na kłacie, „HATE” na palcach lewej ręki, na prawej ma „LOVE”.

(Gdy splata dłonie, w telewizji świetnie widać, jak Miłość zwycięża Nienawiść).

Kobieta wzrusza ramionami i uśmiecha się ujmująco do kamery.

Wysoki, przystojny, sympatyczny, trzy języki, MBA i konto; charyzma, typ gwiazdorski. Trzecia żona? Nie, pierwsza: ślub kościelny. I dwójka dzieci. Patriotyzm tak, narodowość tak, ale bez przesady.

I było po wyborach. Nazwisko prezydenta zna trzydzieści procent Polaków: żyjemy w drugiej Szwajcarii. Tam też nie wiedzą, jak się prezydent nazywa. Nasz dostał siedemdziesiąt procent przy frekwencji sześćdziesiąt pięć.

Telewizja transmituje, On przemawia:

— Panie Marszałku, Wysoka Izbo! Wielka Koalicja, rząd zgody narodowej. Bez nich nigdy nie skolonizujemy przyszłości!

Jak on uwielbiał te *bon moty*! Miał je pięknie wyćwiczone, a promienny uśmiech sam z siebie. Działyły zawsze. Nie zadziałyby jednak, gdyby nie ogłosił na swoim blogu „Dnia V”, a na piersiach nie wytatuował sobie znaku Polski Walczącej. Pierwszego sierpnia, minutę po siedemnastej, opublikował w internecie projekt

ustawy *Czysty parlament* (radikalne zmniejszenie liczby posłów, likwidacja list partyjnych). Fani zbierali podpisy: cztery miliony. „Byliście jak wróble. Jesteście jak orły” — napisał na Twitterze. Wiecowano jak Polska długa i szeroka. Na stadiony przychodziło po pięćdziesiąt tysięcy ludzi. „Na barykady! Politykę trzeba uprawiać w supermarkecie, w szkole, w pracy!” — krzyczał Prezydent i promiennie się uśmiechał, a ludzie zapalali znicze i wiwatowali.

Jakoś się poukładało.

„Tak! Tak! Tak! — Zgoda! Zgoda! Zgoda! — A Bóg wtedy rękę poda — Jeszcze Polska nie zginęła — Ku chwale Ojczyzny — Los Ojczyzny jest nam bowiem najdroższy” — wykrzyknęli Ci i Tamci.

Listopad, niebezpieczny dotąd miesiąc dla Polaków, okazał się łagodny jak baranek. Unosiły się wprawdzie nad nimi głosy Cich i Tamcich. Ale nie były to nawet okrzyki, tylko westchnienia. Rada Języka Polskiego zasugerowała bowiem Cim i Tamcim, by zechcieli łaskawie unikać wulgaryzmów, próbując je w miarę możliwości zastępować staropolskimi: „wara”, „fora” i „precz”. Byle tylko nie „won”, słowo to pochodzi bowiem z obcego kręgu kulturowego. O niebo lepszy będzie wykrzyknik „basta” wyciosany z naszego, śródziemnomorskiego pnia. Te światłe rady zostały z uwagą wysłuchane i z życzliwością przyjęte. Nawet dyzastralne „biada” i „rety” zastąpiono teofanicznymi „przebóg” i „dalibóg”.

Ci i Tamci zaprosili media na konferencję prasową i wlecieli w światło kamer jako ptacy, jak husaria pionowego startu i lądowania.

Wylądowali bezpiecznie. Stanęło na tym, że Ci byli w MSW i służbach, Tamci w MSZ-ecie i finansach. W telewizji byli i Tamci, i Ci: solidarnie. Wyprowadzali w kajdankach. Na konferencjach prasowych pokazywali materiały operacyjne z zakupów kontrolowanych. Ludziom się to nawet dosyć podobało.

3.

Czasem mi się śni, jak zmarł papież. A tobie?

Rozmarzały w nas słowa, które tkwiły w nas dotąd jak sople. Przelatywał przez nas prąd, jakby ktoś włączył nas w sieć, włączył w nas radio. Słuchaliśmy niesłychanej muzyki do niezrozumiałego libretta zapisanego w nieznanym języku, choć to były normalne, polskie, ludzkie słowa. Te zamarzłe słowa roztopiały się w cieple i szemrały jak wypływający na powierzchnię wiosenny strumień. Słuchaliśmy siebie, słuchaliśmy swoich własnych głosów i oglądaliśmy je ze zdumieniem, jakbyśmy patrzyli na cudowne oddziaływanie proszku do prania na pobrudzone koszule. Wyciągaliśmy je z bębna automatycznej pralki świeże i czyste.

W radiu wzruszeni ludzie mówili: „Poczułem się jak szybko-wiec wyciągnięty na dużą wysokość, odpięty od samolotu, który go wyciągnął. Nie mogę zmarnować tej wysokości”.

Słowa deszcz zmyje i opadną na dno rzeki. Znowu mieści się w korycie. Płynie leniwie, niewidzialną siecią ciągnie wodę ciężką od mułu.

Pewnie inaczej się nie da. Tyle się po prostu w człowieku nie mieści.

Po porannej kąpieli dochodziła do nas z zaparowanego lustra nasza twarz. Znowu widzieliśmy zmarszczki po smutku i złości, siwiznę po życiu, „podwójny podbródek po jakimś żarłoku (a cała moja dusza wzdycha do ascezy). Czoło niezbyt wysokie, więc i myśli mało — kobiety, złoto, ziemia...”⁴.

Co nam zostało po tej powodzi? Uprzątaliśmy błoto, suszyliśmy to, co się jeszcze dało uratować, a resztę gratów wyrzucaliśmy przed dom. Niech je zabiorą na wysypisko albo spalą, żeby się coś nie zaległo.

Co to było? Pytaliśmy siebie po tygodniu, po miesiącu. Było-nie było. Nieważne. Każdy ma w końcu swoje sprawy.

Jednak pozostała tęsknota. Właściwie za czym? Za światłami na ulicach? Tyle ich przecież: reklamy, neony. Nie do wypalenia, nie tak jak te puste szklane lampki. Za słowami? Tyle ich, tego hałasu.

Przeczytałam w gazecie wiersz. Zupełny przypadek, dawno nie czytałam wierszy, ostatnio chyba dzieciom do snu. Bardzo mi tego brakuje. Może poczytamy sobie czasem, co ty na to? Wiersze? Jak przychodzę z pracy, tobym raczej pooglądał telewizję. Ale to było bardzo piękne... Nie śmiej się tylko... Aż mi się płakać zachciało... No, daj spokój. Głodny jestem, zjadłbym coś ciepłego. Odwróciła się i sięgnęła po talerz, a on pomyślał o niej z czułością, choć był zmęczony, bo już nie te siły. „Zachciało”... Płakałaś. Wiem, jaka jesteś. Objął ją, a ona nalewała mu zupę.

Dużo, dużo później, kiedy jej już nie było, on przeglądał stare gazety i magazyny. Ale się nazbierało! Ona też tak robiła, zanim je wyniosła na śmietnik. Przeczytał zakreślony mazakiem tekst:

„Idź słowo do słowa.

Do swojego.

Sen w sen idź,

a piękne do pięknego”⁵.

Nie wiedzieć czemu rozplakał się. Dobrze, że tego nie widzi.

Co zostało po powodzi? Ślad wezbranej rzeki na ścianie budynku: „Tu doszłam”. Mogliśmy dotknąć jej śladów w pamięci i poczuć: „Tu byłam, tu byłem”. Na ścianach domów powódź pozostawia ślady mułu. Ten hieroglif w każdym języku świata

znaczy to samo: nie. Tego roku, tej wiosny, ta powódź naniosła ludziom w pamięć inny hieroglif. Oznaczał: tak.

O, roku ów!

Jedną tylko taką wiosnę miałem w życiu. Przez tydzień atakowała nas epidemia miłości. Nie wynaleziono na nią szczepionki, odeszła sama. Z ulic znikły światła, z radia głosy, drzewa się zazieleniły, pożółkły, poczerwieniały, zbrązowiły, liście opadły. A potem jeszcze raz, jeszcze raz, jeszcze raz. Wiosna, lato, jesień, zima. Wiosna, lato, jesień, zima. Zmarszczki robiły się coraz smutniejsze. Ktoś nam zamknie oczy, odbierze głos. Wiosna, lato, jesień, zima, wiosna, lato, jesi...

— Te słowa, to światło, ten kraj to była nasza Najjaśniejsza — mówił Najwyższy. Miał łzy w oczach. Tak to w każdym razie wyglądało w telewizji.

Epidemia zniknęła tak samo niespodziewanie, jak się pojawiła. Czy wirus był wystarczająco silny, że wszedł w ekosystem, załagał się w nim i zimuje, czekając na lepsze czasy? Nie wiadomo. Na razie trzeba było coś zrobić z tym, co nam pozostawił: lampkami bez światła, niepotrzebnymi nikomu łzami rozmazanymi na twarzy, wstydliwymi teraz słowami. Trzeba było to wszystko pochować, pościerać, posprzątać. Z lampek miał być chyba jakiś pomnik. Ale czyj? Ale czego? Jeszcze miesiąc temu to było oczywiste. A teraz? Wywieziono więc lampki na śmietnik. Miejmy nadzieję, że zrobiono im recykling i reinkarnują się jako szklanki, butelki albo kieliszki. Właściwie czemu nie? Wszystko jest dla ludzi. Łzy muszą poczekać na następną okazję.

A słowa? Z nimi było najprościej. Same się porozpadały. Nie mieściły się w tym nowym-starym świecie, były za duże, nieustawne i zbyt delikatne. Przy każdej próbie przesunięcia ich na nowe miejsce, zastawienia parawanem, wyniesienia do piwnicy albo do szopy coś im odpadało: przyrostek, przedrostek, głoska,

fonem albo litera. Każdy ciągnął je w swoją stronę. Wyrządzaliśmy im krzywdę, krzywdziliśmy również siebie. Słowa potrafią bardzo okaleczyć, zwłaszcza te okaleczone. Zwłaszcza te wielkie, na przykład „Ojczyzna”. A najłatwiej pokiereszować miłość. Choć ona akurat miała szczęście. Oderwało się od niej niewiele, tylko „-ść”. Była „miłość”, jest „miło”. I tak zupełnie nieźle.

PROGRAM PARTNERSKI

GRUPY WYDAWNICZEJ HELION



1. ZAREJESTRUJ SIĘ
2. PREZENTUJ KSIĄŻKI
3. ZBIERAJ PROWIZJĘ

Zmień swoją stronę WWW
w działający bankomat!

Dowiedz się więcej i dołącz już dzisiaj!

<http://program-partnerski.helion.pl>

GRUPA WYDAWNICZA

 **Helion SA**

Wyobraźcie sobie kraj mlekiem i miodem płynący, drugą Japonię i Szwajcarię w jednym. Kraj czterdziestu milionów zadowolonych obywateli, kraj raj w centrum sytej i spokojnej Europy.

To Polska.

Dziennikarz, król telewizji, o niebiańskim głosie, który hipnotyzuje kobiety i niemal dosłownie pozbawia je ubrania, a dosłownie tchu i wolnej woli.

Jego cień, producent telewizyjny opętany wizją programu, który zmieni oblicze ziemi, niekoniecznie tylko tej.

Światowej sławy szwedzka architektka polskiego pochodzenia, przybywająca do Warszawy, by spełnić specjalne życzenie prezydenta...

Dopadnie ich wirus.

Epidemia miłości wybuchnie gwałtownie i... zniknie?

„Epidemie są w istocie sprawą zwyczajną. Kiedy wybuchają, ludzie powiadają: To nie potrwa długo, to zbyt głupie. Ale to nie przeszkadza im trwać”.

(Albert Camus, *Dżuma*)



Dariusz Bugalski

Syn Zofii i Czesława, ojciec Natalii, dziadek Malinki, mąż Anny. Dziennikarz radiowej Trójki (Klub Trójki, Trójka pod Księżycem), poeta.

Patroni medialni:



ebook dostępny wyłącznie na:
ebookpoint.PL



ISBN 978-83-283-0083-5



cena 34,90 zł

Nr katalogowy: 36312

Księgarnia internetowa:
<http://editio.pl>

Zamówienia telefoniczne:
0 801 339900
0 601 339900



Sprawdź najnowsze promocje:
• <http://editio.pl/promocje>
Książki najchętniej czytane:
• <http://editio.pl/bestsellery>
Zamów informacje o nowościach:
• <http://editio.pl/novosci>

Helion SA
ul. Kościuszki 1c, 44-100 Gliwice
tel.: 32 230 98 63
e-mail: editio@editio.pl
<http://editio.pl>